

Wspinaczka

Janek wczługuje się powolutku po zakurzonych schodach. Zaraz za nim smętnie wloką się jego nogi – beużyteczne, bezwładne jak dwa kloce drewna. Wspinanie się jedynie za pomocą drżących rąk to katorga, ale on nie przestaje. Ważne, że oddala się od Zabawki.

Gdzieś na tle nieba, niczym żółty guzik wciśnięty w kawał niebieskiej plasteliny, szybuje kula pełna płomienia. Kiedyś Janek mógł do niej dolecieć, złapać w dłonie i potrząsać, by wysypywały się z niej większe lub mniejsze kawałki szczęścia. To już przeszłość. Nie da się dosięgnąć kuli bez skrzydeł, a te dawno zwiędły. Mężczyźnie zostały z nich tylko pokraczne kikuty, które nie przynoszą nic prócz ćmiącego bólu.

Natomiast z pleców innych ludzi wciąż dumnie wyrastają bladoróżowe skrzydła. Janek z nienawiścią patrzy na dwie uskrzydłone postaci, które z łatwością unoszą się w górę. Beztrosko zanurzają się w błękitnym niebie, przebijając się przez chmury. Z powstałych otworów przez chwilę wylewa się palący jak kwas deszcz. Janek czuje gorące kropelki na skórze. Wzerają się w ciało, wzerają się w duszę. Chcą przewiercić wszystko na wylot, zawłaszczyc dla siebie każdą drobinę udręczonego Janka.

– Wracaj na dół. Tam twoje miejsce. Nie porzucaj swojej Zabawki – zdają się szeptać, zanim rozplywają się w nicość.

Zabawka węszy gdzieś na dole. Słysząc jej przyspieszony, niecierpliwy oddech. Wyraźnie czuć jej zapach, jednocześnie odstręczający i upajający. Zabawka czeka, aż Janek spadnie. Czeką, by wziąć go w objęcia i ukotysać w okrutnej parodii wytchnienia.

– Janek! – znienacka odzywa się drżący kobiecy głos. Na szczycie schodów stoi Zosia i uśmiecha się delikatnie, ale jej spojrzenie pozostaje puste niczym okna pozbawione szyb. Wyciąga błagalnie ręce.

Głowa mężczyzny nagle eksploduje oślepiającym bólem. Lewa gałka oczna gwałtownie rośnie do rozmiarów balonu. Nagle odpada niczym dojrzałe jabłko i toczy się w dół. Zatrzymuje się tuż przed Zabawką.

Janek spostrzega naraz dwa obrazy, które nakładają się na siebie. Pozostałe w czaszce oko rejestruje niecierpliwą sylwetkę Zosi znajdującą się kilkanaście schodków wyżej. Samotna gałka oczna na dole również przesyła obraz, jakby wciąż była przytwierdzona do mózgu. Janek może się dokładnie przyjrzeć Zabawce, jakby stała tuż obok niego. Zabawka patrzy prosto w nieruchome, obtoczone w kurzu oko. Uśmiecha się bezwzględnie. W jej ustach widać ostre, szklane zęby.

– Chodź do mnie! – nawołuje z góry Zosia. – Chodź. Jeszcze tylko kawałeczek, dasz radę. Tęsknię za tobą. Tak bardzo tęsknię. Proszę, wróć do mnie. Wróć! Tym razem się uda!

Janek walczy, chociaż palce starty mu się już całkowicie o bezduszny kamień schodów. Pomaga sobie łokciami, wlokąc się w górę, kawałek po kawałeczku. Próbuje krzyknąć, ale chyba zapomniał, jak się to robi.

Uskrzydleni ludzie podlatują, zwabieni świeżym cierpieniem, upojeni ludzką tragedią. Jedna z postaci szybko podfruwa i sprawnie urywa Jankowi obie nogi. Nie tryska nawet odrobina krwi, chociaż boli jak diabli.

– Co ty mi robisz? – jękliwie pyta Janek.

– Spójrz. To nie nogi. To kawałki drewna – odpowiada skrzydlaty oprawca.

Faktycznie. Oderwane kończyny nie wyglądają jak ciało, ale jak dwie drewniane kłody. Nic dziwnego, że były takie bezużyteczne.

Chichocząc jak wariat, skrzydlaty wrzuca swoje zdobycze do płonących trzewi stojącej pod schodami lokomotywy. Lokomotywa przyjmuje podane paliwo. Ożywa i z radosnym furkotem odjeżdża w dal, zabierając ze sobą wszystkie kolory. Świat przybiera gorzką barwę brudnej ziemi. Jedynie wszystkie skrzydła pozostają obrzydliwie różowe.

Janek wraca do przerwanej wędrówki. Bez nóg jest mu nieco lżej. Jeszcze tylko parę schodków. Jeszcze trzy, dwa... Jeszcze tylko ostatni. Zosia stoi zaledwie krok dalej i z nadzieją wyciąga dłoń, chociaż oczy pozostają puste niby dom bez mieszkańców.

Mężczyzna nagle czuje przeszywający skurcz w każdym zakamarku ciała. Traci równowagę i odpada od szczytu schodów. Obijając się o chłodny kamień, zjeżdża na sam dół, do stóp Zabawki. Ta nachyla się i połyka go w całości.

Janek tonie w jej żołądku, otoczony ze wszystkich stron cuchnącym jak rozpacz płynem. Desperacko próbuje oddychać, ale to na nic. By przeżyć, musi wypić płyn, do ostatniej kropli. Otwiera usta i przęłyka raz za razem. Całe szczęście ma w tym ogromną wprawę. Robił to już tysiące razy.

Przygarbiony Janek siedzi w brudnej, zapuszczonej kuchni. Drżące dłonie zaciska desperacko na szyjce pustej butelki.

– Następnym razem nie ulegnę – mamrocze do siebie. – Mogę przestać w każdej chwili. To nic trudnego. Od jutra będę trzeźwy. Zosia do mnie wróci, odzyskam pracę. Wszystko się ułoży. Wcale nie muszę zaglądać do butelki. Zobaczysz, Zosiu. Nie jestem pijakiem. Potrafię żyć bez alkoholu. Naprawdę potrafię.

Za oknem zapada zmierzch, a Janek, uśmiechając się bezmyślnie, odpływa w bezdenną otchłań pijackich marzeń.